

# Zamknięte



FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

## Zamknięte

Okragłe, tłuste kucyki wydzierają lejce z rąk, rzucając łbami. Słońce przecudne, maj, krystalicznie, połyskliwie wokół... wózek wydaje się złoty, kuce z brązu odlane, tylko piękniejsze... wiele, wiele piękniejsze od tamtych... Ach gdzież to gdzie... widziałem przecież... mniejsza z tym.

Mignęła w przedpokoju suknia.

— Mańka! — wołam. — A kiedyż się tam wyguzdracie?

— Zaraz, zaraz... Hej! Stefa! Józek! Drucha!...

— Jak to? Wszyscy?

Zły jestem. Przecież to nie do darowania zamęczać konie! Przy tym, to moje... te kuce... wyłącznie moje.

Ale spaśnie są, więc po chwili przychodzę do przekonania, że im nic nie będzie.

— Wawrzon! — wołam.

Psiadusza! Pewnie dopiero czyści buty... Nie będzie z niego nigdy dobry furman... co nie, to nie...

Rozkoszny mnie oblewa wiatr. Idę oczyma po linii topoli, aż tam do gnącego się we wietrze wierzchołka.

Cudna jest. Szemrze. Pachnie! A ten krąg żywopłotu... Jak się dziś rysuje elipsą ciętych krzaków!...

Idzie Wawrzon. Nie patrzę, a wiem, że dociąga paska. To robi zawsze na ostatku. Nie do gniewu mi zresztą. Patrzę na szyby ganku... liczę je... Błyszczą... jak błyszczą... Wiem, tam za nimi, gdzieś w głębi, głowy drogie, kochane, cudne przez to, że takie kochane... Są. To dość... nie umiem im powiedzieć nic nad podziękę, że są... ale zdaje mi się... rozumieją. Ot kochani...

— No, będzie tam raz?! — wołam w nagłej pasji. — Idź Wawrzon i powiedz!...

Waha się i spoza moich pleców mówi:

— A... naręcznemu klapie lewa podkova...

— Co?... Do krocset diabłów!... A czemużeś... Cóż robi Antoni... ha?

— Poszedł do kościoła... że to niby niedziela... W mieście się przybije... dojdą... dojdą... mówię tylko zawczasu, żeby się pan nie gniewał...

— Cymbale jakiś! — wołam. Ale on wie, że to tak z obowiązku, więc nic z tego sobie nie robi.

Przekonany, że tak jest, milknę i ja... Nie, to nie do wytrzymania!

— Mańka! Mańkaaaa!

— Nie krzycz! Adaś nie krzycz! Wstydz się!

— Proszę cioci, bo nie mogę się doczekać!...

Staje w progu. Złote ma dziś od słońca włosy. Słyszę kaszel wuja.

— Nie wrzeszcz, Adaś! — mówi wujek — Panny muszą się zawsze guzdrać. Całkiem proste.

— Więc jakże? — mówi Mańka — miałam w halce jechać na sumę?

Nareszcie wychodzą wszyscy. Co tu tego!

— Nie biorę tyle hołoty! — mówię. — Stanowczo nie.

— Patrzcie go! — sztydzi Józek. — Albo to twój wózek.

Nie twierdź, że mój, bo wujek słyszy, więc atakuję go tylko pośrednio.

— A to co znowu? — wołam. — Na cóż ty bierzesz aparat fotograficzny? Czy myślisz fotografować księdza przy ołtarzu?

— Daj mu spokój Adaś, niech sobie weźmie, to przecież...

— Mój dzień dzisiaj — woła butnie.

— Widzisz, to jego dzień... Niech sobie weźmie! — prosi ciotka.

— No, prędzej hołoto Branickiego! Prędzej! Mam interesy!

— On ma interesy! Patrzcie go! — szydzi teraz Mańka.

— I ja też! — woła Józek — Prędzej!

— O ty smarkaczu... Ty chyba w Jedlnej!...

— Wypraszam sobie przytyki osobiste! Proszę wuja!...

— Prędzej bando! Prędzej! Wio!

— Czeka! Czyś oszalał? A, gdzieś Andrzej?

— Ajajaj! Moja noga?! Wstań Stefa — mówię — wstań! No, nie ruszysz się?

Drucha poważny, z książkami pod pachą całuje starych w ręce.

— Pamfil! — wołam — Pamfil!

— Tak... jeszcze psa brakuje tylko. Nie ma go. Gdzieś poleciał. Zły jestem, nie wiem sam czemu.

— No, w imię boskie... — mówi ciotka.

— Wracajcie wnet! — dodaje wujek — A powiedzcie ta w Jedlnej, żeby mi przysłali tego rymarza, skoro tylko tam skończy robotę.

— I zaproszę chłopców na popołudnie. Dobrze?

— No dobrze! Zaproś! I panny też. — Józek i Stefa zamieniają zagadkowe spojrzenia.

Ruszamy. Objężdżam gazon, by raz jeszcze spojrzeć na nich.

— Kochani! — rzucam im cicho, bardzo cicho, by moja banda nie słyszała. Patrzą za nami. Uśmiechają się. Zrozumieli. Ten uśmiech był dla mnie, wyłącznie dla mnie.

I zaraz zapomniałem o gniewie. Świstam. Jak cudnie.

Raz jeszcze się oglądam... nic już nie widać.

Zakryły ich lipy, zakryła stojąca pośród nich kaplica...

Ale słyszę, jak mówią do siebie, tam daleko, może tylko myślą zresztą:

— Kochany! Kochany chłopiec!

— O jakżem wam wdzięczny, że jesteście! — odpowiadam cicho.

— Płakać się chce... tak cudnie. Ależ ta moja banda gada!

Całkiem jak w hajderze.

\*

— A pruuu! — woła Józek i łapę swą kładzie na lejcach.

— Co? — pytam, przychodząc do siebie.

— Oszalał! — woła Józek. — Przecież to już Jedlna! Stój!

— Co?

Nie mogę wrócić ku jawie. Nie odnajduję drogi pośród mrocznych gęstw rojeń. Ciągną mnie przemocą ku przytomności.

— Stać! Wsiadamy! Ja i Stefa.

— Na cóż Stefa? — pytam.

— Na to samo, co i Józek! — szydzi Mańka.

— Miłostki... ha, ha!

— Wypraszam sobie! Poskarżę wujkowi! No, piśnij jeszcze słówko, no, piśnij!

— Cicho! Cicho! — przynagliła Drucha — Spóźnię się! Jedźmy!

— Stać. Inaczej stłukę aparat fotograficzny! — woła Józek...

— Spróbuj tylko! — ostrzega Mańka — Miałbyś się z pyszna!

— Może nie ma nikogo... — mówię. — Jakoś pusto.

— Są! — stanowczo twierdzi konsorcjum zakochanych.

Oni to wiedzą.

— Będziemy w lesie! — informuje łaskawie Józek. — Gdybyś nas nie zastał, powracając... pamiętaj... przy drodze w lesie...

Więc wszystko dawno ułożone...

Nie mogę zapomnieć, że miała dziś złote w słońcu włosy. Słyszę jego kaszel, widzę szarą kapotę... Niczym by się mógł nie wyróżniać spośród wielu, a poznano by go... kochany bowiem jest... kochany bardzo on i ona... jakże ich kocham! I oni mnie kochają. I to nie minie... nie zapadnie się w bezden! Wyciągam dłoń... Zostańcie na zawsze. Taką ma moc miłość. Jak to? Nie wiedzieliście? Wyciągam dłoń i odejść już nie zdołacie, bo do miejsca was przykuje coś, co największe, najogromniejsze z istniejących zjaw w tym i wszystkich innych życiach, tu i tam... tu i tam... w tej dali, skąd przychodzi ona... tęsknota, nowych, ciągle nowych stawań się... Miłość! Twórca nieśmiertelności!

\*

— Co to? — drgnąłem nerwowo.  
— Przy tamtym domu — mówi Drucha, a ręką w powietrzu kreśli przy tym jakieś kontury — przy tamtym domu staniesz. Albo nie, tu... Prr! To zwraca uwagę...  
Wysiadł. Zbierał rozrzucone pod nogami rodzeństwa notatki.  
— Można do was zajrzeć? — spytałem.  
— Można. Dziś mój dzień. Ale idź naokoło. Idzie o dobry przykład.  
Mańka patrzy nań z niepokojem.  
— Odrywasz się od pnia. Widzę to... Odchodzisz! Może daleko... strzeż się!  
— Prorokini jakaś! — odrzucił jej — Na razie idę pożyczyć książek<sup>1</sup>.  
— Nie — upierała się — ty odchodzisz... ja widzę cię co dnia dalej.  
Westchnął.  
— Dziecko. Może nim minie chwila i ty się przeprawisz na swój własny brzeg.  
Zamyśliła się.  
— No, dość kiepskich imitacji Apokalipsy — rzucił żartem. — Pa!  
Znikł w zaułku ciasnej uliczki miasteczka.  
— Te smarkacze, pewnie zapomną o mszy. Zapomniałam im powiedzieć, by poszli bodaj na chwilę do kościółka w Jedlnej. Szkoda, ciotce to zrobi przykrość.  
— Czy sądzisz, że im to dobrze robi takie udawanie?  
— Niech udają. Może się zjawić dnia pewnego potrzeba...  
— Albo rutyna.  
Nie odpowiedziała nic, jak zwykle natrafiwszy na opór.  
Wózek podskakiwał po haniebnym bruku. Błoto pryskało wysoko. Mańka otulała się skórzanym fartuchem, jak mogła.  
Ochoczo dość i z niejaką fantazją wpakowaliśmy się do okropnej, cuchnącej sieni zajezdnej. Przeciąg tu był nie do zniesienia, więc skróciwszy do ostatecznych granic powitania ze Szłomą, wyszedłem na rynek z Mańką.  
Różnymi mienił się barwami, bo słońce świeciło jasno.  
Tłumy były gęste, zwłaszcza w wąskim przesmyku wiodącym do drzwi kościelnych.  
— Popatrz no tam! — wykrzyknęła Mańka.  
— Przez tłum przeciskała się zakonnica w czarno-brązowym habicie.  
— To i cóż! — odparłem. — Jakaś felcjanika. Pewnie ze szpitala.  
— To Wanda... Pamiętasz Wandę... ma już kwef... to dziwne spotkanie. Chodź, przedstawię cię, przypomnę raczej. Chcesz?  
— Nie! Idź sama. Spotkamy się przy wyjściu. Wówczas mnie przedstawiś.  
Skinęła mi głową i znikła w cieniu kamiennej bramy.

\*

— Jak to? Już po nabożeństwie? — spytałem dziadka kościelnego zamiatającego podłogę.  
— Ma się wi... — i zamiatał dalej. Dziwnie niegrzeczny, pomyślałem sobie. Pewnie mu Mańka zapomniała dać jałmużnę.  
Ale i potem dziad nie okazał się łaskawszym.  
Mamrotał coś. Raz nachylił i podniósł wielką, kraciastą chłopską chustkę.

<sup>1</sup>idę pożyczyć książek — dziś popr.: idę pożyczyć książki. [przypis edytorski]

Wyszedłem. Miasto nie wrzało zwykłym niedzielnym ruchem, niebo oblaży teraz ciężkie, z trudem dźwigające swoje brzemiona chmury. Ludzie się spiesznie rozjeżdżali.

W zajeździe nie było Szlomy, tylko jakiś młody Żydek, trochę do niego podobny.

A i Wawrzon widno jeszcze od kowala nie wrócił. W mrocznej sieni jakieś konie chłopskie chrupały siano, pojazdów w stłoczeniu i ciemni wcale widać nie było.

Wreszcie chętnie zobaczyłbym tę Wandę, pomyślałem... Tylko gdzie one poszły?

Nie, nie będę czekał w zajeździe.

Hm... deszcz zaczyna padać.

Nie, nie zostanę w zajeździe. Pójdę tam, do nich, do małych fabrykantów wielkiego JUTRA.

Wielkie się porobiły kałuże, widno ziemia była nasyciona wodą. A tam, u nas przeszło tydzień pogody, pomyślałem, człapiąc w zbyt nowych na taką wyprawę trzewikach. Despekt każdy uczyniony mojemu obuwiu dotyka mnie osobiście, więc byłem zły, wściekły, kipiałem gniewem.

\*

— Nie mam przyjemności...

— Jak to? Nie znasz pan mego brata Andrzeja?...

— To jest w istocie... — jękał się młody studencik.

— A rozumiem, rozumiem... No ja nie jestem niebezpieczny. Ale jeśli już tacy jesteście mistycy, gotyccy, wolnomularscy, to sobie bądźcie! Proszę tylko powiedzieć mojemu bratu, że czekamy w zajeździe... proszę zaraz powiedzieć...

— To właściwie... to jest...

— Proszę bardzo! — huknąłem mu nad uchem z wielką pasją.

— Oczywiście! Natychmiast! Padam do nóg! — krzyknął i zamknął drzwi na klucz.

— A to szelma! Taki arogancki, mały fabrykant wielkiego JUTRA! Nie zna Druchy! Konspirator! Szelma!

A tu błoto... Psiakrew!

Trzewiki już i tak na nic. Można iść dalej.

W szalonym jestem humorze. Mam wrażenie, że oto jestem na całym świecie sam jeden, opuszczony, odumarty przez swoich... Wylazi żyłka literacka. Przerabiam błoto, smutek, przypadki rozmaite na powieść.

Wyjechał kucykami na sumę.

W pierwszej wsi, znaczy się, w pierwszym czasokresie zgubił, znaczy się, śmierci dał brata i siostrę... nie... nie... nie... To zbyt bolesne na temat! Kochany Józek... cicho... cicho... Stefa... nie... nie... A to smarkacze! Proszę, już się temu śnią amory, no... no... Okropność robić z życia bibułę... okropność. Pamiętam, doznałem bardzo przykrego uczucia, ilekroć czytając książkę wspominałem: „I o nas można by taką historię napisać!”. Płakałem. Ciotka uspokajała mnie:

— Widzisz, to nieprawda! Czyż u nas są np. jak w tamtej bajce mury zębate, przez które by można wyrzucić zwłoki pomordowanych?!

— Prawda!

— No widzisz! Nie płacz. Takich smutnych bajek nie można by pisać ani o cioci, ani o wujku, ani o was.

— A wesołe, prawdziwe, całkiem dokładne, można by...?

— Naturalnie! Naturalnie! — powiedziała raz.

A ja się dziwiłem. Dlaczego jest aż tak wielka między smutnymi, wesołymi różnica... Wszak i w wesołych przychodzą czasem rzeczy, których tu nie ma... więc...

Nie mogłem nigdy wybrnąć z zawikłania. Czulem jednak, że należy przyznać: tak, tak, najsmutniejsze rzeczy, a całkiem prawdziwe, można by napisać o mnie, Józku, Stefie... Brakło mi odwagi dokończyć nawet w myśli tej listy... Ale potem w życiu nieraz wracało: „Ano, można by!”. I zawsze ten dziecinny lęk...

Psiakrew! Trzewiki na nic!

A wszystko przez te przekleństwa... Zawahałem się.

Nie było winnych, mniejsza z tym. Na złość pójdę piechotą aż do Jedlnej, a Mańka i ten Drucha-Konrad, fabrykant wielkiej światłości, niech się trapią, niech mnie szukają!

— Aż do samej Jednej! — wrzasnąłem głośno, jakbym tą odległą metą miał się zemścić... na... kimże... no na wrogu... na swej może własnej niezaradności, żyłce literackiej czy złej pogodzie, co mi zniszczyła trzewiki.

Tak. Przybywa dalszy rozdział powieści, przemknęło mi przez myśl.

Machnięciem ręki odeгнаłem precz szatana literackiego i natychmiast dumny z siebie i z tego też, że mam swego własnego, własnego szatana do odpędzania, powlokłem się po rzadkim błocie ku widnym na zachodzie góróm.

Literat, Szatan

\*

— Cóż u licha! Gadasz czy nie?

Tupnąłem z pasją. Ale to nie zmieniło wcale sytuacji. Głupawy ogrodniczek dalej śmiał się rehotliwie, nie wypuszczając fajki z ust, ani doniczki z dłoni.

— Przybywa dalsza karta powieści! — ryknął mi w ucho mój rodzony szatan literacki.

Ale teraz już nie bałem się tej myśli... Nonsens! Nonsens! Nie odganiałem wcale szatana, usunąłem się nawet na bok, by mu zrobić miejsce na ławce kamiennej, gdzie siedział.

Oni w lesie i nie wrócą wnet, bo jak na złość wypogodziło się! (teraz, gdy moje trzewiki na nic)...

Nudy... kto by w takiej sytuacji odpędził interesującego szatana literackiego, niech pierwszy rzuci na mnie kamieniem.

Więc mu przyzwoliłem snuć przykry wątek powieści... czekałem... minutę... dwie... daremnie.

Tak, to jakiś naprawdę literacki szatan, pomyślałem, jest dziwaczny, kapryśny, całkiem współczesny... całkiem...

Rozległo się szczekanie, gdzieś od strony gościńca.

— Pamfil na tu! Poczciwy pies szuka mnie! To jedyna żywa i mądra istota, jaką spotykam od paru godzin... Na tu!...

Z krzaków wybiegł pies laciaty. Stał, podniósł przednią łapę i patrzył.

— Na tu, głupi Pamfil! — krzyknąłem.

Szczeknął, przypadł do ziemi, ale nie przyszedł do nogi.

Zmyliło go widać jasne, zmoczone moje ubranie niedzielne. Ale po chwili już łasił się po staremu i podskakiwał do kawałków cukru, ocalałych w kieszeniach od spodni. Nosilem je stale dla psów i koni.

Jakoś wszystko od razu z pojawieniem się tego psa nabrało innych barw. Ten „fakt” uczynił rzeczy otaczające zwyczajnymi, codziennymi... Znikł gdzieś literacki szatan, natomiast pojawił się głód.

— Psiakość! A tom się musiał spóźnić! Nie mam zegarka... prawda, pożyczył go sobie dziś Józek szelma, żeby zaimponować damie swego serca...

— Musieli wszyscy od dawna wrócić... Wujek będzie znowu po swojemu drwił... Kochany... drogi... o drwij... drwij!... A ona bronić... dobra... moja... brońże, broń mnie...

O jakże się naraz zrobiło dobrze! To bliskość domu... i ten poseł... Ten żywy fakt...

Prawda! Jest gazeta! Sam po drodze wziąłem z poczty. Doskonale! A teraz marsz w drogę! Pamfil! na tu!

Czytałem, idąc szybko. Ach, czyż mi trzeba aż oczu, by znaleźć tę drogę, tę moją własną... Zaczytałem się. Jakies były awantury w parlamencie, głupkowate, a ciekawe ze względu na znane osobistości.

— Pamfil! Masz cukru! Pif! Ale to ostatni kawałek!...

Na czas podniosłem oczy, by nie uderzyć się o leżącą w poprzek alei ogrodu kłodę.

Cóż to za głupi żart młodych jegomościów, pomyślałem i krzyknąłem ku stajniom:

— Wawrzon! Wawrzon! Antoni! Antoni!

Ale pewnie świątkowali, więc sam z pewnym wysiłkiem odsunąłem kłodę na bok.

Kończąc notatkę o zwadzie posłów liberalnych, wstępowałem po kamiennych schodach.

Wetknąłem gazetę w kieszeń i układając, jak opowieć przeczytaną krotoczwilę moim starym, położyłem rękę na klamce...

Cóż to, tak cicho?



Oczywiście są przy stole. Tak, tak, jeść, jeść!

Co to? Także, żarty! Hej!...

I nagle, nagle... wróciły wszystkie... wszystkie okropne myśli... Co?... Pytałem nie wiadomo kogo... Co?... ZAMKNIĘTE?...

A z głębi domu, gdym szarpnął za klamkę coś posepnie potwierdziło: ZAMKNIĘTE!  
ZAMKNIĘTE! DOBRZE ZAMKNIĘTE!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-zamkniete>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, *Tropy*, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czernieckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).